

Gruba Ceśka

Piętnastoletnia dziewczynka, grubas niesamowity, siedzi na parapecie okna. Twarzyczka okragła jak księżyc w pełni, w policzkach dwa rozkoszne dołeczki, ciemnozłote, gęste włosy nad jasnym czołem, szare oczochochliki śmieją się nawet wtedy, gdy z dziewczęcych ust pada pytanie zupełnie nieoczekiwane:

— Jakie właściwie są twoje przekonania polityczne?

Robię wielkie oczy. Sama nie wiem, czy mam już coś takiego, co można by nazwać przekonaniami, i do tego politycznymi. Zaczynam coś bąkać o patriotyzmie, humanizmie i nie pamiętam o czym jeszcze. Ceśka przerywa mi zniecierpliwiona:

— W takich czasach jak nasze porządny człowiek wybiera drogę na lewo...

„Porządny człowiek” w tym roku przeszedł do szóstej klasy gimnazjum im. Orzeszkowej. Fuksem. Była dwójka z łaciny, kłopoty z matematyką. Ale przecież wagary w parku Poniatowskiego są o wiele bardziej pociągające niż łacina i matematyka. Wiosna wcale nie zachęca do nauki, wiosną można płać tyle wspaniałych figli, opowiadać tyle nie stworzonych historii...

Renia — starsza o dwa lata siostra — o, to zupełnie co innego: chodząca powaga, „intelektualistka”, same piątki, dzieci z podwórza nazywają ją Konopnicką.

— Mamy trzy córki — mówi mama — ale Ceśka chyba przez pomyłkę urodziła się dziewczyną...

Mama to sojusznik Ceśki, niby to krzyczy na nią, kiedy ten „zwariowany grubas” przewraca dom i cały normalny tryb życia do góry nogami, ale po chwili śmieje się z całego serca, biednego, chorego serca...

Tego lata mama miała ciężki atak. Przez kilka tygodni dziewczynki czuwały przy niej bez przerwy, śpiąc po trzy, cztery godziny na dobę. Przez ten czas śmieszka-Ceśka nie uśmiechnęła się ani razu. „Nikogo tak nie kocham, jak mamę” — mówiła.

Pięć lat temu zmarł ojciec. Pracował u Pozańskiego. Po jego śmierci Renia i Ceśka zaczęły zarabiać korepetycjami. Gimnazjum było drogie. Trzeba było poprosić o ulgę w opłaceniu czesnego. Większość dziewcząt w klasie stanowiły córki zamożnych rodziców.

— Ty jesteś „ulga” i ja „ulga” — mówiła do mnie Ceśka — trzymajmy fason.

Najmłodsza z sióstr, Stefcia, miała trzynaście lat; śliczna była jak obrazek. Ceśka terroryzowała ją bez litości, zmuszając do współudziału w rozmaitych psikusach.

— Jak mnie nie będziesz słuchała, to będzie pranie — groziła.

Pranie polegało na tym, że kładła Stefcię „do balii” (na kanapę), gniotła ją, potem wyżywała z „wody”, wykręcając ręce i nogi, i wreszcie rozwieszała na krześle, „niech się teraz suszy”.

Do mnie miała Ceśka przez długi czas stosunek wysoce lekceważący, bo nie podpowiadałam na lekcjach, nie chciałam chodzić na wagary i w ogóle byłam grzeczną uczennicą.

— Jesteś gapa i mamusina córeczka — mówiła.

Jednak w końcu zmieniła widać zdanie i oświadczyła mi, że „może jeszcze będą ze mnie ludzie”.

Uwielbiałam Ceśkę. Wszystko, co robiła i mówiła, wydawało mi się godne podziwu.

Takiej uroczystej, jak tego dnia, nigdy jeszcze jej nie widziałam. „Porządny człowiek wybiera drogę na lewo”...

— No tak, naturalnie, na lewo... — odpowiadam niepewnie.

Ceśka kołysze energicznie grubymi nogami, zwisającymi z parapetu okna.

— Piłsudskiego pewnie uwielbiasz, jak te idiotki z siódmej klasy?

— Dobrze wiesz, że wcale nie, po co zadajesz takie pytania?

— A co w takim razie masz zamiar robić? Nie miałam żadnych zamiarów. Ale głupio było przyznać się do tego.

— Co dzień, kiedy idę do szkoły, spotykam jeńców sowieckich, jak ich prowadzą. Widziałas, jacy są obdarci i wynędzniali? Kilka razy udało mi się podać im kawałek chleba. Uśmiechali się do mnie, jeden powiedział: „spasibo dziewczka”...

— Słuchaj — przerywa mi Ceśka — wszystko to bardzo ładnie, wiem, że jesteś swoja dziewczucha, ale te śniadania oddawane sowieckim jeńcom, to dobre dla sympatyków. A czy można całe życie być tylko sympatykiem?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Co za słów ona używa? Wcale nie myślałam, że jestem jakimś sympatykiem.

— A co ty proponujesz?

— Jeżeli zrozumiałaś, że ten świat jest niesprawiedliwy i podły, a nic nie robisz, żeby było inaczej, to jesteś współwinna.

A po chwili:

— Proponuję założyć koło.

— Jakie koło?

— Konspiracyjne.

— Jakie?

— Nie wiesz, co to znaczy konspiracyjne? Widzę, że jesteś zupełnie surowa.

Milczałam zakłopotana.

— Zorganizujemy koło w szkole. Będziemy się uczyć marksizmu. To już umówione z Wandą i Renią. Powiedziałam im, że ty na pewno też się zgodzisz. Ale widzę, że się wahasz...

— Wcale się nie waham, tylko próbowałam czytać „Program Erfurcki” i nic nie rozumiem...

— Jak nie chcesz, to się robi bez ciebie. Tylko nie wypapłaj nikomu.

— No, nie, ja tylko... Ja chcę razem z tobą, naturalnie, że bardzo chcę...

Koło powstało w sierpniu 1921 roku. Stąd jego późniejsza nazwa: „Koło Sierpniowe”. Same dziewczyny z szóstej i siódmej klasy. Najpierw było nas pięć, potem urosło do dziesiątki. Zbieramy się co tydzień. Odczytujemy kolejno wypracowania zerżnięte z „Historii rozwoju społecznego” Kautskiego, potem z „Ekonomii politycznej” Bogdanowa. Nazywamy to referatami. Pierwszy mój re-



„Gruba Ceśka”



„Justyn“ — Salomon Jaszurki

ferat był o komunizmie pierwotnym. Ceśki — o ustroju patriarchalno-rodowym. Renia i Wanda, dwa mole książkowe, ogromnie się tymi sprawami pasjonują. Reszta dziewcząt udaje, że też. Tylko Ceśka po kilku miesiącach traci cierpliwość.

— Jak myślisz — pyta mnie pewnego dnia — czy jak już wiemy, co to był komunizm pierwotny albo feudalizm, to od tego rewolucja będzie prędzej?

— Chcesz przestać?

— Chcę, żeby nasze koło było ścisłe.

— Co to znaczy, ścisłe?

— To znaczy, żeby było naprawdę komunistyczne, żeby należało do organizacji, żeby coś nareszcie robić.

Wyjechała z tym samym na najbliższym zebraniu, po „dyskusji” nad referatem Wandy o manufakturach, nudnej jak flaki z olejem.

— Słuchajcie, dziewczęta! Jak długo będziemy się smażyć we własnym sosie? Jest w Łodzi organizacja młodzieży komunistycznej. Czas najwyższy wstąpić do niej.

Wszystkie zamilkłyśmy z wrażenia. Ciszę przerwały głosy przeciwne wnioskowi. Że jeszcze jesteśmy zupełnie surowe, że trzeba się najpierw czegoś nauczyć. Sławka powiada, że mogą nas zaarrestować i jej mama by tego nie przeżyła. W końcu piątka wypowiada się jednak za wnioskiem. Reszta woli być „luźna”.

— Pies z nimi tańczył — mruczy Ceśka — niech sobie siedzą u mamy pod fartuszkami.

Już mamy kontakt. Na pierwsze zebranie „ściśłego” „Koła Sierpniowego” ma przyjść

Jaszuński, ten student. To prawdziwy działacz, podobno już był aresztowany. W każdym razie — jak dowiedziałyśmy się — wygłasza referaty nie wykute na pamięć, tylko z głowy.

Kiedy wszedł — było cicho, jak makiem zasiał. Z głupiej sytuacji wyratowała nas Wanda, opowiadając „Szujowi”, że studiuje Kautskiego. A on na to, że Kautsky to renegat, i w ogóle zmieszał go z błotem, że już lepszy jest Plechanow, chociaż też oportunistą. Nic dotychczas nie słyszałyśmy, że był taki Plechanow. Tymczasem Jaszuński rozgadał się na całego. O Leninie, o rewolucji w Rosji, o dyktaturze proletariatu. Połowy z tego wszystkiego nie zrozumiwałyśmy. Ale olśnił nas. Mówił z takim zapalem, jak by miał przed sobą pełną salę słuchaczy. A tu siedzi wokół niego pięć niedowarzonych dziewczuch i słucha z wybaluszonymi, zachwycenymi oczami. Ceśka kopie mnie pod stołem i podsuwa kartkę: „Widzisz, jacy ludzie kierują naszą organizacją?”

Po referacie miała być dyskusja. I oczywiście żadnej dyskusji nie było. Kompromitacja zupełna, ale żadna z nas nie miała odwagi ust otworzyć. Co on sobie o nas pomyśli?

Po zebraniu wyszliśmy na ulicę razem: Jaszuński, Ceśka i ja. Ni z tego, ni z owego „Szuj” zaczyna mówić, jaka to piękna dziedziną nauki — filologia, że właśnie studiuje na uniwerku we Lwowie, że sanskryt to prawdziwa kopalnia, że... nic dalej nie rozumiemy z potoku jego słów. Ceśka szczypie mnie w bok, a on niezmordowanie gada i gada... Na szczęście kiedyś trzeba się pożegnać. Przerywa więc swój monolog, zdejmując stu-

dencką czapkę i kłania się takim śmiesznym, szybkim ruchem głowy, jak by miał sprężynę w karku.

— To musi być mędrzec, ale nudny z tym swoim sanskrytem — wyrokuje Ceśka.

Po kilku następnych zebraniach, na których kolejno wygłaszali referaty inni reprezentanci otoczonego mgłą konspiracji Komitetu — „Świrski”, „Dnieprow”, „Ceński” — wszystko sztabaki z „Oświaty” i od Brauna, poszła fama, że „Koło Sierpniowe” ma jedną tylko nieocenioną zaletę: nikt z jego członków pary z gęby nie puszcza.

Ceśka się wściekała.

— Dlaczego nam żadnej roboty nie dają? Mamy bez końca tylko słuchać, jak oni się mądrzą? Mam tego dosyć.

W szkole, w starszych klasach, dawało się już odczuć istnienie naszego koła. Powiększało się grono dziewcząt, z którymi można było rozmawiać na tematy zakazane.

Pewnego pięknego dnia — plucha była jesienna, blocko parszywe — Ceśka wpada do klasy promieniejąca.

— Wiesz, przyszedł do nas wczoraj taki brunet z czarnymi oczami, powiedział, że się nazywa „Stefan” i że trzeba dziś wieczorem zanieść „paczulkę” dla związku zdemobilizowanych żołnierzy. Ma ją dostarczyć o piątej.

— Może to szpicel?

— Zwariowałaś, z takimi oczami? Ma oczy jak czarne płomienie.

— Nigdy nie widziałam czarnych płomieni...

— Szkoda, że ci powiedziałam, jak się boisz, to sama pójde.

— Wcale się nie boję...

Kłamałam. Miałam solidnego pietra, przez cały dzień byłam podniecona i nic nie mogłam robić. Poleciałam do Ceśki zaraz po obiedzie, bardzo chciałam zobaczyć tego Stefana z oczami jak czarne płomienie. Cała rodzina Ceśki czekała na niego w podnieceniu. Ale „Stefan” nie przyszedł, przysłał jakiegoś wymoczka. „Paczułka” była niewielka, mocno zawiązana sznurkiem. Adres — jakaś zakazana ulica, hasło: „do Mańka-żołnierza”.

Ceśka była w siódmym niebie. Co też tam jest w tej „paczułce”? Może otworzyć, zobaczyć?

Renia zaczęła z niej kpić.

— Też mi konspiratorka, co nie umie powściągnąć ciekawości.

Idziemy wreszcie z Ceśką w nie znaną, nową krainę. Deszcz pada. Wychodzimy z ulicy Przejazd na kraniec miasta, bruk się skończył, minęła nas ostatnia gazowa latarnia, przejście przez jakiś tunel, jeszcze kilometr trzeba iść — gdzież on jest ten Mańka-żołnierz, jaka daleka do niego droga, jaka ciemna i grząska, jaka tajemnicza.

Nagle Ceśka szturcha mnie łokciem:

— Ktoś idzie za nami.

— Tak, ktoś idzie...

— Będę udawała, że poprawiam pończochę...

Minął nas jakiś robociarz ze sterczącą z kieszeni bańką od kawy. Widać, że z fabryki wraca.

— Tchórzowi strach siedzi za kołnierzem — parsknęła Ceśka.

— Przecież to ty sama zrobiłaś panikę.

Docieramy wreszcie do celu. Parterowy

dom, ciemna sień, długi korytarz. Po omacku liczymy drzwi: pierwsze, drugie, trzecie. To tu. Pukamy, jeszcze mocniej serca pukają. Wysoki cień w uchylonych drzwiach.

— My do Mańka-żołnierza.

— Od kogo?

— Od Stefana.

— Wejdźcie.

Jak mocno uścisnął nam ręce.

— Takie młode towarzyszeki... Dobrze, powiedzcie Stefanowi, że jutro będzie rozkolportowane.

Wyleciałyśmy na ulicę jak wariatki. Ceśka znowu daje mi szturchańca w bok.

— Widzisz, tam były odezwy. Nareszcie miałam w ręku odezwy. Trzeba je było chociaż przeczytać. Ta świętoszka Renia nie dała. Jaki świat jest piękny!

Deszcz chlupał. Przedmieście Łodzi tonęło w błocie i ciemności.

Nauka poszła definitywnie w ką. Co dzień po obiedzie chodziłam do Ceśki „odrabiać lekcje”. A naprawdę czekałyśmy, kiedy znowu przyjdzie Stefan. Odrabianie lekcji wyglądało co dzień podobnie. Ceśka wyciąga plan lekcji i zaczyna swój monolog: matematyka — przepisze się w klasie, polski — „Ludzie bezdomni”, zna się na pamięć; historia — rewolucja francuska, można nie czytać i tak będzie piątka u tego idioty, łacina — „Quousque tandem abutere Catillina patientia nostra”. Hip, hip, hura! Lekcje zrobione.

Renia zaczyna prawić morały:

— Co z was będą za rewolucjonistki? Lennie patentowane, nieuki, gdzie poczucie obowiązku itd.

Groch o ścianę, Ceśka chwytła jakiś beret, naciąga na głowę niby męską czapkę, bierze się pod boki i zaczyna „grać” rolę Migdała z „Karykatur” Kisielewskiego.

— „Z kimże? Z kimże, panno Zosiu? Z kimże w tany? Z kimże okoliczność?”

Umieramy ze śmiechu, jak ona to świetnie robi.

Ceśka przepada za teatrem. Znalazła sposób chodzenia do teatru na gapę, bo przecież forsy nigdy nie mamy. Po pierwszym akcie biletów przy wejściu na salę już nie sprawdzają. Ceśka ma palto z kołnierzem z imitacji popielic, kiedy wchodzi do teatru, przybiera pozę, jak by nosiła płaszcz z gronostajów, z miną hrabiny mija biletera i sunie wprost do pierwszego rzędu. Ja oczywiście za nią. Tak nam to przypadło do gustu, że jesteśmy w teatrze kilka razy w tygodniu, zwłaszcza kiedy gra Zelwerowicz lub Węgierko.

Mama wciąż ostrzega, że nas złapią i będzie wstyd i hańba. Ja też mam za każdym razem duszę na ramieniu i próbuję Ceśce perswadować:

— Dlaczego koniecznie musisz siedzieć w pierwszym rzędzie? Usiadźmy gdzieś dalej, to nie zwróci niczyjej uwagi.

Dała się raz namówić. Usiadliśmy w jednym z dalszych rzędów. Grano „Chorego z urojenia”. Już kurtyna się podnosi i nagle... — Proszę bileciki, nie ma? A wstyd, takie inteligentne panienki...

— Wszystko przez ciebie, ty przebrzydły żabolu — gnębiła mnie Ceśka przez całą drogę do domu. — Więcej z tobą nie pójdę.

Po tygodniu znowu była w teatrze, oczywiście w pierwszym rzędzie, razem z Józwą,

krawcową, która szyla w tym samym domu i była wspaniałym kompanem we wszelkich szalonych przedsięwzięciach Ceśki.

Najnowszą naszą pasją były koncerty w Filharmonii, bo jak się dowiedziałyśmy, nasi szanowni prelegenci, czyli po prostu cała trójka „Kagańców”, chodzili na koncerty co poniedziałek. Naturalnie na galerkę. Tam też dzięki Beethovenowi i Czajkowskiemu przełamane zostały między nami lody oficjalności. Najbardziej zaprzyjaźniłyśmy się z Mrugałą. Miał wtedy szesnaście lat, a już przestudiował „Kapitał”. I wcale nie był „ważny”, całkiem swój chłopak. Zdążył już posiedzieć rok w więzieniu. To nam strasznie imponowało.

Życie „Koła Sierpniowego” stawало się z każdym tygodniem bardziej interesujące. Zdobyłyśmy już własną biblioteczkę, a w niej dwie książki Lenina: „Imperializm” i „Państwo a rewolucja”. Trzeba to było czytać, żeby nie kompromitować się przed chłopcami. O wiele bardziej zajmująca była robota na ręcznym powielaczu „Greif”, który został ulokowany w mieszkaniu Ceśki. Paczki „wygrafowanych” przez nas odezw zabierali chłopcy z koła „Małego”. Nazwa pochodziła stąd, że te szczeniaki miały chyba po czternaście lat, nie więcej. My, „Sierpniówki”, uważałyśmy się już za dorosłe.

Zbliżał się 1 maja 1922 roku. W naszym życiu był to pierwszy 1 Maj. Organizacja dała nam dwa polecenia: w noc z 29 na 30 kwietnia rozlepiać na mieście odezwy Komitetu Łódzkiego KPRP, a 1 maja rozrzucać je podczas demonstracji.

Nie było to takie proste. Po pierwsze, jak wytłumaczyć w domu, że wychodzimy na całą noc? Ceśka znalazła wyjście najprostsze: powiedziała swojej mamie prawdę, ja nabrałam moją, że będę nocowała u Ceśki.

Idziemy razem na umówiony „lokal”. Ceśka przez całą drogę terkocze jak karabin maszynowy. Że już mamy półroczny staż pracy konspiracyjnej, więc „naturalnie to już nie robi takiego wrażenia”, że „rozlepiać odezwy to dla nas mucha” itd. Ale serca pukały mocno, niespokojnie.

Towarzysz, który kierował akcją, miał pseudo „Kitaj”. Oznajmił nam, że mamy iść na robotę parami, chłopak z dziewczyną, bo to mniej podejrzanie wygląda. Ceśka miała iść razem z Lolkiem, szóstoklasistą z handlówki. Znałyśmy go już trochę i bardzo się nam podobał. Ceśka, która klasyfikowała ludzi jak tytoń na gatunki: „średni”, „przedni” i „najprzedniejszy”, mówiła o Lolku, że jest „naj-naj-najprzedniejszy”. Ale tego wieczora oświadczyła kategorycznie, że z nim ani w ogóle z żadnym chłopcem nie pójdzie.

— Coś taka harda? — pytam.

— A bo oni się będą całą noc znowu mądrzyli o materializmie dialektycznym. Taki to się nawet wstydzi wziąć dla niepoznaki dziewczynę pod rękę... Wolę z tobą.

I znowu poszliśmy z Ceską na pełną czaru wyprawę. Przydzielono nam rejon: Kilińskiego, Nawrot, Sienkiewicza, Pusta. Dostałyśmy sto odezw, bańkę kłajstru. Wzięłam z domu bajki Konopnickiej „O krasnoludkach i siostrze Marysi” — duża książka w twardej okładce, można na niej wygodnie posmarować odezwę kłajstrem i buch na mur, Konopnicka przyklepie. Ceśka zapewnia mnie, że

gdyby Konopnicka żyła, to by wstąpiła do partii.

Godzina była późna, ulice puste, więc robota szła składnie. Ceśce usta nie zamykały się ani na chwilę. Mówiliśmy ze sobą „odwrotnym językiem”, każde słowo wspak. To oczywiście też był pomysł Ceśki. Niech kto spróbuje zrozumieć, co to znaczy: „Anzcytsinumok aitrapp azcintobor ikslop”. Ceśka zmusiła mnie do nauczania się „odwrotniaka” i wskazała niezawodną metodę: codziennie po drodze do szkoły czytać wspak wszystkie szyldy sklepowe. Ta dziecinna zabawa odegrała potem niemałą rolę w sprawach całkiem poważnych.

Owej nocy, między jedną a drugą naklejoną odezwą, Ceśka odkryła, że już teraz jesteśmy rewolucjonistkami całą gębą, prawie jak Sonia Perowska.

— Zabolu, nie bałabyś się oddać życie, tak jak ona?

— Za rozlepianie odezw nie grozi kara śmierci...

— Całe życie, myślisz, będziemy tylko odezwy rozklejać?

— Uważaj, „głina” idzie.

Szedł rzeczywiście za nami o jakie dwa-dziesiąt kroków.

— Może schowamy się w tej bramie — proponuję.

— Głupiaś. Zatrzymamy go na rogu — decyduje Ceśka.

Na rogu Nawrotu i Kilińskiego przystajemy, „głina” podchodzi.

— Przepraszam pana — Cesiuchna robi minę niewiniątka — którądy się idzie na Główną?

— A co to panienki robią tak późno na ulicy?

— Idziemy do cioci, bo nagle zachorowała. Pokazał drogę, zasalutował.

— Widzisz, jaki bałwan. Można mu było odezwę na tyłku przykleić.

Ostatnią odezwą udekorowałyśmy bramę fabryki w pobliżu defy na Kilińskiego. Godzina trzecia w nocy. Jeszcze ciemno. Ceśka jest w złotym humorze. Wybiega na środek jezdni i spluwa trzy razy.

— Czego plujesz?

— Na świat kapitalistyczny.

Sprawa pójścia na demonstrację pierwszomajową przedstawiała się trudniej. Szkoła przecież. Za opuszczenie lekcji w tym dniu będzie grubsza awantura. Może jakoś się wykręcimy... Ceśka proponuje, żebyśmy się przebrały za dorosłe — nikt nas wtedy nie pozna. Pomysł zachwycił mnie. Przebrałam się w długie, granatowe palto mamy i jakiś kapelinder z kwiatkiem. O ósmej rano miałyśmy być na „podpunkcie” przy Niemieckim Gimnazjum — róg Kościuszki i Zamenhoffa. Przyszłam pierwsza, rozglądam się, idzie ku mnie jakaś otyła dama w kowerkotowym płaszczu i kapeluszu, głęboko nasuniętym na czoło. Ceśka! Pękamy ze śmiechu. Jak wesoło zaczyna się dzień. A oto idzie Marian Minor. Szybko wręcza nam paczkę odezw i żegna się. Po drodze na Wodny Rynek mamy spotkać inne dziewczuchy — „Sierpniówki” — i podzielić się z nimi naszym drogocennym ładunkiem. Tym razem moją parą ma być Olga z VII klasy.

Wodny Rynek zalany tłumem ludzi. Czerwone sztandary PPS, PPS — same PPS? Nie, oto po lewej stronie placu sztandar z napisem KPRP, a wokół niego masa robociarzy z grubymi laskami w rękach. Patrzę, Ceśka już się uwija między tłumem. Wzlatują w górę odezwy. Ludzie chwytają je, czytają. Powoli rozwijają się nad nami czerwone transparenty: „Niech żyje rząd robotniczo-chłopski”. Pepeesowcy już wyruszyli. Z orkiestrą, a jakże. Dużo ich jest, cholernie dużo.

Teraz kolej na nas. Komuna formuje się, ludzie chwytają się mocno pod ręce i zaczynają śpiewać: „Na barykady, ludu roboczy...” Idziemy. O trzy szeregi przede mną wydziera się Ceśka. Raz po raz podaję Oldze garść odezw zza pazuchy maminego płaszcza. Olga je rzuca w górę. Idziemy coraz szybciej. Uwaga. Zbliżamy się do Piotrkowskiej.

Piotrkowska, jaką pamiętam od lat dziecińczych, była ulicą, na której gołym okiem widać było gorączkową pogoń za zyskiem. Bogata i brzydka, kapiąca zbytkiem i brudna, pełna ludzi, którzy wiecznie gdzieś spieszyli i wciąż liczyli, pieniądze, weksle, akcje. Ulica bogatych sklepów, wystrojonych kobiet, „złotej” młodzieży szlifującej deptak od Krótkiej do Nawrotu.

Raz do roku — 1 maja — na Piotrkowską wychodzili ludzie z Bałut, Górniaka, Widze-wa... Tego dnia nie widać było ani spieszących się panów, ani wystrojonych pań. Pano-wie i panie siedzieli w swych mieszkaniach i zza firanek patrzyli od wczesnego ranka na wyludnioną jeszcze ulicę, po której krążyły tylko patrole policyjne.

Na rogu Piotrkowskiej i Główniej, co roku w tej samej bramie, czekał ukryty oddział konnej policji.

Około dziesiątej z wylotu Główniej wylądowały pierwsze kolumny pochodu. Skręcały w Piotrkowską, nikt ich nie zatrzymywał. Grała orkiestra, jaśniały dostojnie sztandary PPS. Równe szeregi szły powoli — spokoj, porządek.

Nagle z bramy wypada „konna” z obnażonymi szablami i zamyka wylot Główniej.

Chwieje się, pada i znowu wznosi się w górę sztandar. Na sztandarze napis: Komunistyczna Partia Robotnicza Polski.

Urywa się, a potem znowu rozbrzmiewa głośno, ochryple pieśń: „Bój to będzie ostatni”. Nie ma już żadnych równych szeregów, ulicę po brzegi wypełnia zbита masa ludzka, która usiłuje przerwać się na Piotrkowską.

— Towarzysze, trzymać się za ręce, nie uciekać, naprzód!

Policja szarżuje. Pochód łamie się, cofa, rzędzie, znowu usiłuje zebrać siły, część ludzi chowa się po bramach, część przeciska się chodnikami, aby znowu się skupić, znowu iść za rozdartym strzępem sztandaru...

Dopiero na placu Wolności pochód rozwiązuje się. Fala ludzka odpływa w boczne ulice.

Idziemy z Olgą ulicą Zachodnią w stronę domu, pełne wrażeń, podniecone i szczęśliwe, że wszystko dobrze poszło. Nagle głos: — Panie pozwólcie. — Jakiś typ zatrzymuje nas, odwija klapę płaszcza, pod którą błyszczy metalowa blaszka z napisem: „Urząd śledczy PP”. Poznaje go: siedł razem z nami w pochodzie. Tajniak, psiakrew! Nic oczywiście

nie pomagają nasze protesty i wykrety. Cóż mamy robić, idziemy. Idziemy do defy.

Trudno jest odtworzyć uczucie piętnastoletnich dziewcząt, które po raz pierwszy powędrowały do aresztu. Jedno jest pewne: nie było to wcale uczucie bohaterskie. Wręcz przeciwnie. Poczuliśmy obie gęsią skórę. Nad wszystkim górowała myśl: jak by się tu wykreć i co powie mama.

Defa. Duży szary budynek na Kilińskiego. Tajniak wypycha nas do bramy, potem na jakieś wąskie schody i korytarz. Jest tu tak pełno aresztowanych z demonstracji, że już ich nie biorą do cel, nie ma miejsca.

Wprowadzają nas do pokoju, w którym za biurkiem siedzi policaj ze srebrnymi dystyngcjami. Patrzy na nas spod oka.

— Nazwisko.

Potem każe wyprowadzić Olgę. Robi mi się bardzo markotnie.

— Co pani robiła na demonstracji?

— Nie byłam na żadnej demonstracji.

— A gdzie pani była?

— Na cmentarzu, na grobie tatusia.

Policaj śmieje się do rozpuku i przedrzeżnia:

— „Na grobie tatusia”, jakie niewiniątko. A z kim pani była na tym grobie tatusia?

— Z Ceską, to moja szkolna koleżanka, jej tatuś leży niedaleko mojego...

— Z jaką Ceską?

O święta naiwności. Wymawiam z całym spokojem nazwisko Ceśki i... serce mi zamiera: policaj już ma w ręku słuchawkę telefonu, już dzwoni do kancelarii szkoły, czy taka a taka chodzi do VI klasy, tak, adres, tak, Nowocegielniana 12, dziękuję.

I zaraz dzwoni do komisariatu: „Sprawa-
dzić natychmiast do Urzędu Śledczego“. Boże,
co ja zrobiłam. Wsypałam Ceśkę. Co teraz
począć? Najlepiej byłoby umrzeć. Struchlała
czekam, co będzie dalej.

Zanim upłynęła godzina, otwierają się
drzwi: wprowadzają Ceśkę. Prędko jak ka-
rabin maszynowy mówię głośno „odwrotnym
językiem“, że byliśmy na cmentarzu. Policaj
wrzeszczy: „Nie porozumiewać się“. Ceśka
mruga do mnie, że zrozumiała.

Wyprowadzają mnie. Jakiś szpicel popycha
mnie przez korytarz, potem na jakieś schody,
znowu korytarz i znowu schody, aż wreszcie
znajduję się w pokoju, gdzie rzędem stoją
aresztowani. Kobiety i mężczyźni, młodzi
i starsi. Kolejno podchodzą do policjanta, któ-
ry robi im odciski palców. Potem fotografują
ich. En face, z profilu i w nakryciu głowy.
Kolej na mnie. Biernie poddaję się zabiegom.
Jestem zupełnie zdruzgotana.

Wprowadzają Ceśkę. Uśmiecha się do mnie
swoim cudownym uśmiechem. Przy robieniu
odcisku palców wciąż porusza ręką i operację
trzeba dwa razy powtarzać. Głina wścieka
się, krzyczy. Przy fotografowaniu Ceśka robi
jakieś straszne miny, usta sznuruje, oczy
mruży, głową kręci, fotograf trzy klisze po-
psuł, sklął Ceśkę, na czym świat stoi.

Znowu mnie wyprowadzają. Wchodzę do
jakiegoś bardzo eleganckiego gabinetu. Za
biurkiem siedzi cywil. Czarny wąsik, oczy jak
dwa sztylety przebijają człowieka na wskroś.
To musi być sam Niedzielski, szef defensywy.
Każe usiąść i wygłasza długie kazanie, że
wstyd, taka młoda panienka, z dobrej rodziny,
uczenica i tak dalej. Że jak powiem całą
prawdę, to mnie zaraz wypuszczą, a jak będę

kłamała, to przekażą sprawę konfidentom
i wszystko i tak się wyda.

— Co to takiego konfident? — pytam cał-
kiem szczerze.

— Konfidenti to są nasi ludzie, którzy na-
leżą do waszej organizacji i wszystko nam
donoszą.

— Nie należę do żadnej organizacji...

— To się okaże...

Okazało się, że tajniak, który nas zatrzy-
mał, widział, jak Olga rozrzucała odezwy, ale
nie zauważył, że brała je ode mnie. Olga zo-
stała w areszcie. Mnie i Ceśkę uwiecznili
w kartotece podejrzanych o działalność ko-
munistyczną i puścili.

Wyszliśmy z defy późnym wieczorem. Be-
czaliśmy przez całą drogę do domu — z żalu
za Olgą, pierwszą z „Sierpniówek“, która
cierpi za sprawę. Po kilku miesiącach skaza-
li ją na półtora roku więzienia.

Takie było nasze pierwsze zetknięcie z wro-
giem. Do tej pory areszt, więzienie to były
pojęcia znane tylko z książek. Czytałyśmy
wspomnienia Feliksa Kohna „W katordze na
Karze“, a w domu mojej mamy, w skrytce
pod wysokim dębowym zegarem, leżało pu-
dełko z fotografiami — własność stryja, który
za caratu był na katordze. Fotografie były
zupełnie wyblakłe, robione widać przez sa-
mych więźniów. Oglądałyśmy je z Ceśką nie
raz. Katorżnicy w kajdanach na nogach,
w tych swoich strasznych chałatach i czap-
kach bez daszków. Jedna fotografia zrobiła
na nas szczególnie silne wrażenie: katorżni-
cy niosą trumnę, a na wieku trumny na-
pis: „Borcu za swobodę“. To było dawno,
w 1905 roku, daleko... A oto okazuje się, że

wróg jest blisko nas, tuż, tuż, że jest okrutny i silny.

Tego wieczora po raz pierwszy widziałam, jak Ceśka płacze.

Ze szkoły nas oczywiście wyleli. Ceśka pocieszała mnie, że to nic wielkiego, może nas przyjmą do innej. Najważniejsze, to szybko spotkać się z chłopcami i pochwalić się, że byliśmy w defie. Spotkanie z Mrugałą odbyło się w parku Poniatowskiego. Wypytywał szczegółowo, jak się tłumaczyłyśmy. Myślałam, że mnie strasznie zruza za Ceśkę. Ale nie zrugał.

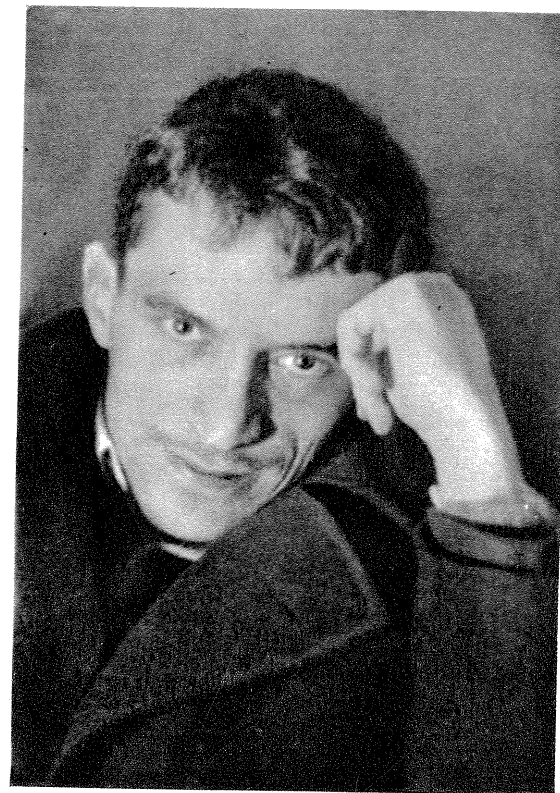
— Będiesz teraz wiedziała, że w defie nie wolno wymieniać żadnych nazwisk.

— Będę wiedziała na całe życie...

Wkrótce potem zostałyśmy z Ceśką dokończone do egzekutywy dzielnicy „Zielonej”.

Minęło lato. W listopadzie — wybory do Sejmu. Partia idzie do wyborów z własną listą, pod nazwą „Związek Proletariatu Miast i Wsi”. Odbywają się wiece, wszędzie pełno naszych wydawnictw, odezw, ulotek, w związkach zawodowych co dzień burzliwe zebrania.

W lokalu związku budowlanych na Zamenhoffa gnieździ się kąt ZPMS. Zbiera się tam dużo młodzieży robotniczej. Co wieczór przemawia ktoś z naszych chłopców. Największy nasz podziw budzą Mrugała i Lolek. Gdzie oni się nauczyli tak przemawiać bez karteluska, wszystko z głowy? Tam też poznajemy Janka Gutnera, Zygmunta Kowal-



„Stefan“ z oczami jak czarne płomienie... (Józef Konecki)



Stanisław Łańcucki

skiego, Olejniczaka — to młodociani robotnicy, zetemkowcy.

— Nareszcie przestałyśmy się warzyć w inteligentkim sosie — mówi Ceśka.

Szkoda tylko, że wisi nad nami egzamin. Wyleli nas przecież z budy w środku roku, nigdzie nas teraz bez egzaminu nie przyjmą. Do nauki jednak nie mamy zupełnie głowy. Dni i wieczory ciągle są czymś zajęte, kiedy się uczyć? Ceśka wpada na pomysł: ciotka, która mieszka w tym samym domu na Nowocegielnianej, wyjechała z dziećmi na kilka tygodni i zostawiła klucze od mieszkania; można tam uczyć się po nocach, nikt nie będzie przeszkadzał.

Pierwszej nocy wkuwałyśmy Karejewa — najwięcej zaległości było z historii powszechnej. Zeby nie zasnąć, popijałyśmy czarną kawę. Następnej nocy uczyłyśmy się już tylko „do pucu”, co przeczytamy kilka stron, Ceśka zaczyna wspominać wydarzenia minionego dnia.

Był wiec Łańcuckiego w Sali Koncertowej na Dzielnej. Przeżycie niezapomniane — pierwszy raz widziałyśmy posła komunistycznego.

Sala była przepelniona do ostatniego stojącego miejsca, a z ulicy wciąż jeszcze pchali się ludzie, sami robocjarze.

— Panienko, czego się panienska tak pcha? — To do Ceśki. Pcha się rzeczywiście na grandę, ciągnąc mnie za rękę. Już jesteśmy w środku, znajdujemy sobie miejsce koło jednego z filarów.

— Ten za filarem, to szpicel, widziałam go w defie — mówi mi na ucho Ceśka. — Musimy się precisnąć, trochę bliżej sceny. — Próbujemy, ale na próżno, taki ścisk.

Nagle sala wybuchła okrzykami: „Niech żyje Związek Proletariatu Miast i Wsi”, „Niech żyje towarzysz Łańcucki”. Na scenę wchodzi kilku mężczyzn, zajmują miejsca za stołem prezydyjnym. Który z nich jest Łańcucki? Wstaje jeden:

— W imieniu komitetu wyborczego Związku Proletariatu Miast i Wsi otwieram zgromadzenie wyborcze. Przemawiać będzie towarzysz Stanisław Łańcucki, poseł na Sejm.

Na samą krawędź sceny wychodzi niemłody już mężczyzna z wąsami i bródką. Sala grzmi od oklasków.

Nie, nie potrafię odtworzyć tego przemówienia. Gdybym spróbowała, niejeden z czytelników skrzywiłby się i pomyślał: jakie to banalne — burżuazja, proletariat, wyzysk, ucisk, terror, zdrada. Może i mnie samej brzmiałoby to dziś jak drętwa mowa. Wtedy nie było banalne, wtedy każde z tych słów wyrażało treść żywą i sprawdzalną, każde hasło trafiało do tysięcy serc. Sala huczała: „Niech żyje komuna”, „Precz z ugodowcami”.

Po skończonym przemówieniu grupa robotników otoczyła Łańcuckiego i tak zniknął w masie ludzkiej. Z galerii na salę syją się ulotki. Ludzie tłoczą się ku wyjściu. A my z Ceską stoimy wciąż na tym samym miejscu, zadzieramy głowy, może uda się zobaczyć Łańcuckiego z bliska. Psiakrew, znowu ten szpicel jest koło nas. Jedne z ostatnich opuszczamy salę. Na ulicy jeszcze tłum ludzi, jeszcze okrzyki.

Chyba zawalimy ten egzamin. Nocna nauka przykrzyła się nam po kilku dniach. Im bliżej wyborów, tym czasy gorętsze. Nie przeczuwamy zupełnie katastrofy, która wisi nad organizacją.

Któregoś poranka budzi mnie ostry dzwonek u drzwi. Wchodzi mama Ceški, błada jak ściana.

— Musisz zaraz uciekać. Ceškę i Renię zabrali w nocy. Całą noc robili rewizję. Mieszkanie przewrócili do góry nogami.

Zmartwiałam. Nietrudno było domyślić się, że skoro przyszli do domu, to znaczy, że jest jakaś większa wyspa. Moje domysły potwierdziły się. Cały prawie aktyw ZMK został zabrany tej samej nocy. Nazajutrz gazety łódzkie rozpiśały się na całą stronę o wykryciu „groźnej organizacji wywrotowej”, wymieniając nazwy kół i pseudonimy towarzyszy. Kto wyspał? To się okazało dopiero po roku. Prowok Łuczak, który ciągle kręcił się koło mnie i Ceški. W 1924 roku zastrzelił go Engel.

Ceska i Renia siedziały na Milsza zaledwie cztery miesiące, kiedy stało się nieszczęście. Rankiem do celi weszła dozorczyzna i kazała im się ubierać. Myślały, że idą do „śledzia”. W kancelarii czekało dwóch tajniaków. „Panie pójda z nami”. Dziewczęta były tym trochę zdziwione, bo zazwyczaj więźniów politycznych prowadził na śledztwo przodownik policji mundurowej zwany „Psem”. Na ulicy jeszcze jeden powód do zdziwienia: czemuż to szpiki nie prowadzą ich w stronę sądu, lecz w przeciwnym kierunku?

Idą ulicą Gdańską, mimo wszystko ucieszone nieoczekiwanym spacerem — to taka dla więźniów frajda wyjść choćby na krótko poza mury.

Wreszcie, gdy są już blisko Cegielnianej, Ceska pyta: — Dokąd nas panowie prowadzą?

— Zaraz się pani przekona.

Potem każą skrócić na lewo, w Nowocegielnianą, co to ma znaczyć? Dziewczęta przyspieszają kroku, ogarnięte złym przecuciem: kilkaset metrów stąd jest przecież ich dom.

Czyż to możliwe, że szpicle prowadzą je do domu? Są już zupełnie blisko. Czy to właśnie przed ich domem stoi tyle ludzi? Co się stało?

Dziewczęta biegną, szpicle za nimi. Karawan przed domem... Wpadają na podwórze, do sieni, bez tchu. U drzwi otwartego mieszkania Ceśka pada mi w ramiona, o nic nie pyta, wie już wszystko.

Nad martwym ciałem matki, nad zemdłonymi z bólu dziewczętami z dwóch stron stoją szpicle i raz po raz patrzą na zegarek. Prokurator zezwolił tylko na jedną godzinę pożegnania. Na cmentarz nie pójda, nie ma co prosić, godzina wystarczy najzupełniej.

— No, już panie tu leżą więcej niż godzinę, wody się napić i przejdzie. Proszę wstawać, dłużej nie wolno.

Odrywają dziewczęta siłą od mamy, od małej Stefki. Prowadzą je, półprzytomne, wpychają do dorożki. „Jechać szybko. Milsza 29”.

Za karawanem szła mała Stefka i gromada przyjaciół.

„Wsypa Oficerska“

Sterczę od godziny pod bramą więzienia. Już powinni byli Ceśkę wypuścić. Od wsypy minął rok. Rozprawy sądowej jeszcze nie było, ale małoletnim do siedemnastu lat przysługuje amnestia.

Brama otwiera się raz po raz, za każdym zgrzytem klucza w zamku podbiegam — i znowu nie ona.

Zaczynam się niecierpliwić. Kto wie, czy nie stało się coś złego. Kręcę się po małym odcinku chodnika tam i z powrotem.

Wtem słyszę znajomy głos: „Zabolu”. No, nareszcie. Mój grubas wytacza się na ulicę z tobołkiem w ręku, włosy potargane, na pewno dziewczęta tak ją wytarmosiły na pożegnanie.

— Jak długo panie mają zamiar tu się całować? Proszę przejść na drugą stronę. — To dozorca nas przegania. Przy rogu Gdańskiej spotykamy zdyszana Stefkę. Rzuca się Ceśce na szyję i beczy ze wzruszenia. Ceśka jest trochę nieprzytomna, strasznie głośno mówi i wciąż ogląda się, czy nikt za nami nie idzie. Całą drogę do domu opowiada o Reni. Renia przecież tam została.

I znowu jesteśmy w starym kochanym mieszkaniu na Nowocegielnianej. Tylko mamy

wygląda bardzo źle. W więzieniu na Targowej powstała potem taka piosenka:

Hen, na Oficerskiej jest mieszkanie małe,
Tam ci się raz zeszło towarzystwo całe.

*Jeden, niby tego, przyszedł se posiedzieć,
Drugi — trochę wypić, znajomych odwiedzić,*

Trzeci — że bez pracy, po radę do braci,
Czwarty — że nie wiedział, za co w związku
płaci.

Gospodarz gościnny, serce bardzo czułe,
Na stół stawia flaszki, a pod stół — „bibulę“.

Mężczyźni, kobiety, rajcują, gadają,
A wtem — gwałtu, rety, bomby, oj,
strzelają!

*Jeden podparł sufit, ściany — pozostali,
A ze wszystkich kątów policja się wali.*

Wszyscy są „niewinni“, każdy dziecko
zgrywa,

Winna tylko jedna, jedna defensywa.

Odtąd o naszej wyspie mówiło się „wsypa oficerska“, a o Ceście i o mnie „oficerskie dziewczęta“.

Komuna „na Milsza“

Już trzeci dzień jestem w więzieniu. Po udrękach defy nareszcie spokój. Przez całą drogę z Kilińskiego na Milsza Kucharzowa i Grabowska płakały. Ceśka uspokajała je, że będzie im lepiej niż w domu. Pomagało to tyle, co umarłemu kadzidło. Teraz też siedzą w kącie celi i od czasu do czasu poplakuja.

Gdy nas przyprowadzono do kancelarii, więźniowie pospolici, którzy tam pracują, powitali Ceśkę jak dobrą znajomą. Starsza dozorczyńni, Nawrocka, na jej widok wyęgała przez nos:

— Prędko pani przyszła z powrotem, można się było tego spodziewać. — I zabrała nas na oddział.

Idzie się na oddział kobiecy przez podwórko zwane „studnią”. Ponury czworobok, z czterech stron do samego nieba widać tylko małe zakratowane okienka, słońce tu nigdy nie dociera. Brrrr! Po drodze Ceśka uświadamiała mnie, że te drzwi na wprost bramy — to pralnia, na prawo łaźnia, dwa okienka na trzecim piętrze na lewo — to nasza cela, a te okienka naprzeciw — to cela „szczurów”. Zupełnie jak by oprowadzała gości po swoim folwarku.

Gdy „stara” otworzyła przed nami drzwi celi „politycznej”, gromada dziewcząt rzuciła się na nas wrzeszcząc „Ceśka, Ceśka!” i zaczęła obcałowywać każdą po kolei.

Potem musiałyśmy opowiadać, co słysząc na wolności, jak wysypałyśmy się i jak było w defie. Dziewczęta orzekły zgodnie, że Kucharzową i Grabowską na pewno puszcza, a Ceśka i ja mamy wyrok murowany.

„Stara” cały czas podśluchiwała pod drzwiami, a gdy dziewczęta głośno się śmiały, waliła kluczem w drzwi krzycząc:

— Ciszej tam, to nie bazar.

Nasza cela wygląda zupełnie inaczej, niż ją sobie wyobrażałam. Gdyby nie te kraty w oknach pod samym sufitem, zupełnie nie przypominałaby kryminału. Widziałam kiedyś w domu sierot taką salę jadalną.

Nasze więzienie mieści się w budynku przerobionym ze starego domu czynszowego. Tyle że zamurowano okna, pozostawiając tylko oberlufty, okratowano je i zasłonięto od ulicy żelaznymi „koszami”, a drzwi zaopatrzone w mocne zamki, żelazne sztangi i wizytyrki.

Na środku celi stoi duży stół na krzyżakach, po bokach ławki. Na jednej ścianie wisi długa półka z kołkami na palta, przy dwóch innych ścianach leżą ułożone w stos i okryte kocami sienniki. W dzień wolno na nich siedzieć i dziewczęta nazywają to siedzeniem na kanapie. Na noc sienniki rozkłada się na podłodze, jeden obok drugiego. Ja śpię obok Ceśki.

Przy drzwiach stoi kibel, zwany „usza-kiem”, w kącie pod oknem mała ławka, a na niej dwie miednice i dwa wiadra z wodą. Po

wodę chodzi się na podwórko dwa razy dziennie. Jest to jakaś rozrywka i wszystkie dziewczęta rwą się do tego. Trzy razy dziennie oddziałowa otwiera celę i woła: — Panie, wychód! — co znaczy, że wolno iść do ustępu naprzeciwko, obok ogromnej celi „pospolitej”, zwanej „owczarnią”. Siedzi tam przeszło setka więźniarek. Zostawiamy im czasem w ustępie chleb, bo zawsze są głodne.

We dnie w celi jest dość ponuro, okna wychodzą na „studnię”; ściany są do połowy wysokości pokryte smołą, żeby robactwo się nie legło. Wygląda to trochę jak żałobna klepsydra.

Za to wieczorem jest całkiem przyjemnie, nad stołem pali się nisko zawieszona lampa, siedzimy wszystkie wokół stołu i czytamy.

Największe moje zdumienie, gdy po raz pierwszy weszłam do celi, wywołały fotografie Marksa i Róży w ramach z czerwonej bibułki, wiszące na ścianie akurat naprzeciwko wizytyrki.

Symbolizują one rzecz charakterystyczną: po przekroczeniu tego progu wchodzi się w nowy świat — komunę. Wczoraj jeszcze, w defie, każda z nas wypierała się jakichkolwiek związków z organizacją, z działalnością komunistyczną. W więzieniu jest się od pierwszej chwili członkiem komuny, która stanowi zdyscyplinowaną organizację i manifestuje na każdym kroku swój polityczny charakter. Więźniowie polityczni wywalczyli sobie prawa, których nie pozwalają naruszać. Mamy więc książki, materiały piśmienne, gazety, dwie godziny wolnego spaceru (kryminaliści tylko pół godziny, gęsiego i nie wolno im rozmawiać), widzenie bez siatki,

własne ubrania, nie stajemy na apel, mówi się do nas nie „wy“, lecz „pani“ itp.*

Na Milsza jest tylko jedna cela polityczna — kobiet. Towarzysze siedzą na Targowej. Każda cela ma swego delegata, cała komuna — starostę.

Rok temu dziewczęta ogłosiły tu głódówkę przeciwko szykanom ze strony administracji. Głódówkę poparli kryminalni i zrobił się w całym więzieniu wielki raban.

Historię tej głódówki opisał w piosence Antek Krawczyk, sprawca kilku napadów bandyckich, osadzony w celi sąsiadującej z naszą.

Tekst piosenki dziewczęta otrzymały od sąsiadów przez dziurkę wywierconą w ścianie.

Oprócz grypsu z piosenką był też liścik miłosny adresowany „do tej grubej“, zatytułowany „Najdroższy ślipku“ i podpisany Rinaldo Rinaldini. Dziewczęta odstukały znany we wszystkich więzieniach umowny znak: „odczepcie się“, po czym zakleiły dziurkę w ścianie chlebem i zamazały proszkiem do zębów, żeby nie było poruty. Ale piosenkę chętnie śpiewają. Oto ona:

*W Łodzi na Milsza jest „więzień“ srogi,
Po celach więźni napchana moc,
Także niejeden skutny na nogi
Spędza w niedoli bezsenność noc.*

* Warunki, w jakich znajdowali się wówczas więźniowie polityczni, prawa, które wywalczyli, uległy radykalnym zmianom po przewrocie Piłsudskiego. „Zasłużył” się w tym szczególnie minister sprawiedliwości Grabowski; wydany przez niego regulamin więzienny zrównywał więźniów politycznych z przestępcami kryminalnymi. Więźniowie polityczni prowadzili wytrwałą walkę przeciwko zamachom na ich prawa, nieustającym szykanom i terrorowi więziennemu.



Samuel Engel

Na ręce, nogi skutyś w kajdany,
W ciemnościach nie wiesz, gdzie stawić krok,
To czynią bracia, polskie tyrany,
Że tak powoli tracisz swój wzrok.

Naczelnik Chudzik wie, co się dzieje,
Bo trzyma w szponach bezbronny lud,
Chodzi szyderczo, tylko się śmieje,
Że nam powoli dokucza głód.

Rok tysiąc dziewięćset dwudziesty trzeci,
Pierwszego stycznia okropny jęk,
Okrzyk z wezwaniem do więźni leci
I naraz słychać okropny brzęk.

To komunistki prawa żądali,
Wszczęli głodować jak jeden mąż,
By przyjaciółkę z karcu wydali,
Lecz Chudzik chodził wściekły jak wąż.

Więźniowie wszyscy śmiało stanęli
Jako bezbronny, gnębiony lud
I jednym głosem „nie bić!“ krzyknęli,
Niech się zakończy więzienny trud!

O śmierć, panowie, i zemsta, kaci,
Wszyscy staniemy do walki wraz,
Każden za krzywdy swoje zapłaci,
Bo już nadchodzi ten błogi czas.

Złodziej się złączy z czerwonym znakiem
I z robotnikiem stanie jak mąż,
A na was czeka szubienica z hakiem,
My krzyknijemy chórem: ach, zemsta już!

Delegatką naszej celi jest Hanka Frankowska, dwudziestodwuletnia robotnica z Górniaka. Ma już wyrok, dwa lata. Jest najstarsza w celi. Ceśka i ja jesteśmy najmłodsze. Przed Hanką delegatką była Klara. Ogromnie się z nią liczył naczelnik i w ogóle cała administracja. Chyba nie tylko dlatego, że Klara jest znaną działaczką, i nie tylko

dlatego, że jej papa jest wielkim burżujem;
przede wszystkim dlatego, że umie ona każ-
dego z nich owinać sobie wokół palca — te
karły dorastają jej do pięt.

Mimo to komuna postanowiła, że delegatką
powinna być robotnica i że trzeba zmusić
administrację, aby ją tak samo respektowała,
jak Klarę. Najtrudniej było ze „starą”. Igno-
rowała Hankę i ostentacyjnie zwracała się
z każdą sprawą do Klary. Ale Klara dała jej
kategoryczną odpawę i oświadczyła, że
w ogóle nie będzie z nią gadać.

Pierwszego dnia, gdy nas przyprowadzili
na Milsza, dziewczęta urządziły wieczór pio-
senek. W jednej z nich właśnie uwiecznione
zostało owo historyczne wydarzenie wyboru
nowej delegatki. Śpiewa się ją na melodię
„Miałeś, chamie, złoty róg”, jest to jedna
z ulubionych piosenek Ceśki.

*Na Milsza we więzieniu
Słuchać o przesileniu,
Gabinetu zmiana
Zadecydowana.*

*Na walnym posiedze —
Na walnym posiedzeniu.*

*Słuchać gwary i krzyki
W celi u „polityki”.
Krzyczy Jadzia, Hanka,
Fela, Różka, Franka,
Gorąco od kryty —
Gorąco od krytyki.*

*Tak się wszystkie głośno dra,
Ze więzienne mury drżą.
Gwar jak na weselu,
Choć już po apelu
I więźniowie wszyscy,
I więźniowie wszyscy śpią.*

*Chyba nie ma różnicy
W sejmie naszej stolicy,
Jeno tu niestety,
Sejmują kobiety
Z najskrajniejszej lewi —
Z najskrajniejszej lewicy.*

*Dyskusja się skończyła,
Równowaga wróciła,
Urzędową tekę
Pod swoją opiekę
Wreszcie Hanka przyję —
Wreszcie Hanka przyjęła.*

*Więc niech prasa okrzyczy,
Niech zagrzmią na ulicy
Extra telegramy,
Że już w Łodzi mamy
Gabinet robotni —
Gabinet robotniczy.*

Jaki tu jest surowy reżym, komuna sama
go ustanowiła: zaraz po śniadaniu „bez-
względna cisza”, nawet szeptać nie wolno.
Dziewczęta ślęczą nad książką i robią notatki
w zeszytach. Nazywają to konspektowa-
niem. Obejrzałam te książki, żadna mnie na
razie nie pociąga. Kropotkin — „Pomoc
wzajemna jako czynnik rozwoju”. Tuhon-Ba-
ranowski — „Społeczne zasady kooperacji”.
I inne takie. Jak posiedzę rok, to może się
do nich zabiorę. Klara czyta Bucharina
o materializmie, ale po rosyjsku, tylko ona
jedna zna rosyjski. Może zacząć się uczyć
rosyjskiego?

Po obiedzie jest „względna cisza”, tzn. że
nie wolno hałasować, bo w tym czasie od-
bywają się lekcje polskiego, matematyki, geo-
grafii, historii. Od jutra Ceśka i ja też bę-
dziemy miały uczennice. W celi jest pięć

inteligentek, reszta — robotnice, włókniarki i „Igła”. Razem szesnastka. Szkoda tylko, że Reni tu nie ma, wywieźli ją do Piotrkowa.

Nie od razu można się przyzwyczaić do tej ciszy, jest niezmiernie trudno nic nie mówić przez osiem godzin dziennie. Toteż szepczemy sobie w kącie z Ceśką, za co nam raz po raz ktoś zwraca uwagę uroczystym tonem:

— Dziewczęta, przeszkadzacie pracować.

Za to podczas spaceru możemy się wygadać do woli. Spacer odbywa się na dużym podwórku, nie w „studni”, lecz na zewnątrz gmachu. Wokół wysokie drewniane ściany z kolczastym drutem. Widać ponad nimi okna sąsiednich domów na Milsza i na Lipowej. Tam jest wolność. Słysząc, jak tramwaj przejeżdża, jak dzieci hałasują.

Dostałam dziś pierwszą paczkę z domu, a w niej nowy sweterek. Kiedy zamierzałam się weń wystroić, Bronka Zduńska, która jest gospodynią odzieżową, powiedziała mi: „Musisz wyzbyc się przywiązania do własnych łaszków i w ogóle do własności prywatnej. W komunie wszystko jest wspólne”. I dała sweterek komu innemu. Zawstydziłam się strasznie. Oprócz gospodyni odzieżowej jest jeszcze żarciowa, która się co tydzień zmienia. Z tym dzieleniem żarcia bywają różne śmieszne rzeczy. Jak na przykład podzielić jedno jajko na twardo na szesnaście części? Mądrości uczy doświadczenie. Najpierw jajko zostało pokrojone na szesnaście kawałków i zjedzone. A potem doszliśmy do wniosku, że to nie ma sensu, i zapadła uchwała, że przysmaki trudne do podzielenia należy dawać chorym i chudym. Odtąd ani Ceśka, ani

ja nie mamy w podobnych wypadkach żadnych szans.

Dosyć próżnowania. Mamy już z Ceśką upragniony przez nas pokarm duchowy: dostałyśmy Brzozowskiego — „Głosy wśród nocy” i „Ideje”. Już nie gadamy podczas ciszy, zaczytujemy się i wypisujemy w zeszytach cytaty, które nam się podobają. Jeszcze mają nam przysłać „Legendę młodej Polski”. Nie wiem, dlaczego Klara tak się pobłażliwie uśmiecha, kiedy pokazujemy sobie z Ceśką wypisane cytaty. Pewnie nie uważa Brzozowskiego za marksistę. Niech sobie będzie. A nam się strasznie podoba.

Dziś było generalne sprzątanie celi. W taki dzień nie ma ani ciszy, ani lekcji, a to dla takich leniów, jak Ceśka i ja, uciecha nie lada. Nauczyłam się szorować podłogę trocinami z drewna, robi się potem bardzo biała. Poszorowałyśmy stół, ławki, wszystkie miski i łyżki, jeszcze nigdy w życiu tyle się nie napracowałam, a Lodka pokpiwała ze mnie, że jestem inteligentka i mam białe rączki. Ma rację.

Resztę dnia śpiewało się i w ogóle bałaganiło. Naturalnie bohaterką zabawy była Ceśka. Wyśpiewała cały swój repertuar, robiła „lwa” i „małpę”, dziewczuchy trzymały się za boki ze śmiechu. Ach, jak ona się lubi bawić. Jak małe dziecko. Ma różne dziecinne fantazje, które nazywa „maniami”. A więc ma „manię”, żeby rogi poduszki nigdy nie sterczały; kiedy robię wieczorem posłanie, muszę rogi wcisnąć do środka, koldrę pikową przy-

słaną z domu, na której jest utkana postać niewieścia naturalnej wielkości, muszę tak układać, aby głowa „pani” była z tej strony, co nasze głowy, inaczej Ceśka nie położy się spać. Zrobi groźną minę i zamruczy: „Ząbolu, jak położyłeś «panią»?” albo „Ząbolu, rogi!”

Dzięki Ceśce moja edukacja więzienna odbywa się w trybie przyspieszonym. Nauczyła mnie alfabetu i słownika więziennego oraz wielu wesołych kawałów. W ogóle to w celi nie wolno brzydko się wyrażać, Ceśka jednak od czasu do czasu łamie tę szlachetną zasadę i wyraża się. Niektóre dziewczęta oburzają się z tego powodu, a najwięcej moralizuje Hanka: „Na wolności można sobie mówić, jak się chce, ale w więzieniu nie będziemy przecież wyrażać się jak pospolite”. Na te słowa Ceśka robi „małpę” i cała cela wybucha śmiechem.

Przyszła nowa towarzyszką z małym dzieckiem, Zośka Dobrowolska, zwana „Ślepą Zośką”. Jedno oko utraciła z powodu jaglicy, drugie też ma chore. Dziecko, dziewczynka, ma trzy miesiące. Nazywa się Zenka, bardzo ładna. Zośka przyszła na odsiadkę, ma wyrok półtora roku, połowę odsiedziała, ale dali jej przerwę właśnie z powodu tej jaglicy. Dziewczęta zaczęły od razu szeptać po kątach, że jaglica w celi to straszna rzecz... Hanka poszła do naczelnika, żeby zorganizowali dla Zośki leczenie. „Nurek” obiecał, że zaprowadzą Zośkę do wolnościowego lekarza.

Miałyśmy dziś pierwsze widzenie. Do mnie przyszła mama, do Ceśki — Stefka. Mama na-

turalnie nie wierzy, że nam jest wesoło, choć obie z Ceśką przez całe pół godziny opowiadałyśmy jej, jak tu morowo spędzamy czas. Po widzeniu już nie nie mogłyśmy robić do wieczora. Jednak jest bardzo tęskno za domem, za wolnością... Ceśka owinęła się w chustkę i siedzi teraz zagapiona w okno. A tam tylko jedną samotną gwiazdkę widać.

— Na co się gapisz? — pytam. A Ceśka mówi:

— Mam weltszmerz. — Ja też...

Umarł Lenin. Wczoraj wieczorem dowiedziałymy się o tym od oddziałowej Dąbrowskiej, choć nie wolno jej takich rzeczy mówić. Nie chciałyśmy wierzyć, a dziś piszą o tym wszystkie gazety. Dostałyśmy „Nową Kulturę” w żałobnej obwóдке z artykułem Hempla. Nikt w celi nie może sobie miejsca znaleźć. Jest cicho, choć żadna z dziewcząt książki do ręki dziś nie wzięła. Hanka wycięła z gazety fotografię Lenina, zrobiła czarną ramkę z okładki od zeszytu i zawiesiła na ścianie między oknami.

Czytam „Państwo i rewolucję”. Zaczęłam wpisywać cytaty do zeszytu, ale potem przestałam. Za dużo trzeba by wypisywać, wszystko jest bardzo ważne.

Pokłóciłam się z Ceśką. O „Przedwiośnie”. Powiedziałam, że Żeromski pisze o komunistach z sympatią i że ta książka bardzo nam pomoże, a Ceśka zaczęła ze mnie kpić i od słowa do słowa wywiązała się kłótnia. Pob-

czałam się i teraz nie mogę sobie w celi miejsca znaleźć.

Z Cešką już wszystko dobrze. Kiedy wczoraj położyłam się spać i odwróciłam się do niej plecami, Ceška, jakby nigdy nic, mówi: „Zabolu, rogi!” I na tym się skończyło. Dziś Ceška namówiła mnie, żeby zacząć palić papierosy. Patronat przysyła sporo tytoniu, a palaczek nie ma, wszystko rozdajemy popolitum... Kiedy się pierwszy raz zaciągnęłam, zrobiło mi się tak paskudnie, że już miałam tej przyjemności dosyć na zawsze. Ale gdy popatrzałam na Ceškę, jak z rozkoszą wciąga dym i wypuszcza nosem, pokonałam obrzydzenie i wypaliłam papierosa do końca. Paskudztwo.

Znowu mamy gościa — przyszła Tocha Kempnińska. Wsypała się razem z Józką Strzelczykiem, bardzo paskudnie, znaleźli u nich broń „Hiszpana”. Toška mówi o tym z miną tajemniczą, bo właściwie po co im była ta spluwa, przecież partia nie uznaje terroru? Cieszymy się z Cešką, że teraz są już w celi trzy „Sierpniówki”. Dowiedziałyśmy się od Toški maszy plotek o naszych najbliższych na wolności. Największa sensacja — Olga pojechała do Mekki i wyszła za mąż. Też pomysł.

Wczoraj wywieźli czwórkę karnych: Klarę, Hanke, Romę Hiler i Janke Kańczucką. Podobno do Kalisza, choć „stara” nie chciała im powiedzieć, dokąd jada. Najwięcej nam

żał, że już nie ma Klary. Kto nas teraz będzie uczył? Nawet Janki szkoda, choć była swarliwa i zawsze siedziała w kącie obrażona na cały świat. Miała kompleks niższości i ślezczała godzinami nad słownikiem wyrazów obcych, ucząc się ich na pamięć. Za to układała zgrabne piosenki, które długo jeszcze będziemy śpiewać. Do jednej z nich powtórka właśnie te obce wyrazy:

*Dziwne czasy nastają,
Że się baby mieszają
W polityczne breweryje,
Z defensywą w kolizyje,
W konkurencji z chłopami.*

*Zamiast siedzieć w chatupie
Jako ślimak w skorupie
Albo jak która potrafi,
Żyć w dziedzinie pornografii
Nie zaś w emancypacji...*

Szkoda Janki.

Dziewczęta wybrały mnie na delegatkę. Broniałam się, ale nie pomogło.

Od czasu jak Klara wyjechała, Nawrocka odnosi się do nas z wyraźnym lekceważeniem. Na pewno dlatego, że oprócz „Ślepej Zoški” wszystkie dziewczęta są w wieku poniżej dwudziestki.

— Jak tu siedziała pani Unszticht — powiedziała dziś „stara” — każdy „politykę” szanował. Nie było takich wrzasków i chichotów po apelu.

O Zoške Unszticht chodzi legenda po całym więzieniu. Podobno na rozprawie, kiedy sędzia zadał jej sakramentalne pytanie, „czy oskarżona przyznaje się do winy nale-

żenia do organizacji mającej na celu obalenie istniejącego w państwie polskim ustroju społecznego... — Zośka odpowiedziała: Tak jest, przyznaję, że ze wszystkich sił dążyłam do obalenia obecnego ustroju społecznego, oparłego na wyzysku i krzywdzie klasy robotniczej. Nie uważam tego za swą winę, przeciwnie, uważam za najwyższy zaszczyt to, że jestem członkiem Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, której działalność budzi w was taki paniczny strach, panowie sędziowie”.

Ceśka zainicjowała ustną ankietę: „Jak wyobrażam sobie życie po rewolucji”. Okazało się, że żadna z nas nie umie na to pytanie odpowiedzieć. Były różne odpowiedzi, że pałace będą dla ludu, że nie będzie nędzy i głodu, że będzie sprawiedliwość, równość itd., ale fantazji wyraźnie nam nie starcza. To na pewno dlatego, że nasze marzenia dalej niż do rewolucji nie sięgają. Żeby tylko tego dożyć. Dziewczęta często głośno marzą, jak to będzie na barykadach, jak „runą więzienia i prysną kajdany”, a Reginka Płotek z lubością opisuje scenę, jak to robotnice z jej fabryki wywiozą na taczkach samego Etingona... Reginka nie należała do organizacji, wpadła przez swojego narzeczonego. Narzeczoną też siedzi, nazywa się Leon Kotek, a my śpiewamy Regince „Włazł Kotek na Płotek”...

Zbliża się 1 maja; w celi takie przepełnienie, że nie ma dosłownie czym oddychać. Jest nas już dwadzieścia dwie, a po maju

chyba jeszcze przybędzie. Wpadła „Cecylia” — Helka Piotrkowska, Ceśka nazywa ją „Cycelia”. Potem Olga Cywińska, strasznie fajna dziewczucha. Zośka z dzieckiem przeszła do celi matek, bo Zenka zachorowała, przy tym nie chcemy, żeby tu była 1 maja, nie wiadomo, co będzie.

Jesteśmy po pięciodniowej głodówce. Średnia przyjemność, ale można wytrzymać. Zaczęło się od awantury 1 maja. Od rana przypięliśmy sobie czerwone kokardki, a o dziesiątej stanęliśmy dwuszeregiem naprzeciwko okien i, jak można najgłośniej, śpiewamy „Międzynarodówkę”. Przy trzeciej strofice z wielkim trzaskiem otwierają się drzwi, wpada do celi starszy Adamczyk i kupa oddziałowych. Wrzeszcza „nie śpiewać”, a my nic, drzemy się dalej. Adamczyk zdziera ze ściany Marksa, Lenina, Różę... W drzwiach stoi „stara”, a za nią — „Nurek”. My furt śpiewamy. „Międzynarodówka” się skończyła, więc „Czerwony Sztandar”. Przy słowach „precz z tyranami, precz z zdziercami” „Nurek” wydaje rozkaz: „Brać je do karceru!” Oddziałowi chwytają nas za ręce, wykręcają je w tył i ciągną na schody, w dół, do sutereny. Darliśmy się nawet wtedy, kiedy zatrzasnęły się za nami drzwi piwnicy tak głębokiej, że na pewno nas już nikt nie słyszał. W karcu ciemno, jak w d... u Murzyna. Wpakowali nas po pięć do każdej ciemnicy. Ceśka jest ze mną, jakże mogłoby być inaczej. Ile godzin tam sterczałyśmy, nie wiem. Kiedy wróciłyśmy do celi, wyglądała jak po pogromie. Popatrzyliśmy wzajemnie na siebie — żałosny widok: potargane włosy, po-

darte bluzki, kokardek naturalnie ani śladu. Byłyśmy tak wściekle, że bez długich namysłów postanowiłyśmy ogłosić głodówkę, choć tego nie wolno robić bez zgody W.W. Ceśka od razu zaczęła walić pięścią w drzwi. Przyleciała „stara”. Oświadczyłam jej, że na znak protestu przeciwko braniu nas siłą do karceru i zakłóceniu naszego święta rozpoczynamy głodówkę, żądania prześlemy naczelnikowi na piśmie. A dziewczuchy zaraz zaczęły wyrzucać na korytarz chleb i wszystko, co było w celi do żarcia. „Stara” mruknęła, że zamelduje naczelnikowi, i zatrzasnęła drzwi. Wtedy zaczęłyśmy spisywać żądania. Dłuższego spaceru, dłuższych widzeń, przyspieszenia śledztwa, drugiej celi, bo w tej ciasnocie nie można już wytrzymać, i inne; zażądałyśmy też zwrotu fotografii Marksa, Lenina i Róży.

Na drugi dzień głodówki przyszedł do celi prokurator Krychowski. Namawiał, żebyśmy przestały głodować, to wtedy zastanowi się nad naszymi żadaniami. Odpowiedziałam mu, że dopóki nie spełnią naszych żądań, nie przerwiemy głodówki. Więc poszedł sobie.

Trzeciego dnia już nie wstawaliśmy z sienników. Najlepiej trzymała się Ceśka, cały czas opowiadała kawały, żeby podtrzymać dobry nastrój. Z samego rana oznajmiła nam, że teraz już zjadamy same siebie. Nie jest to znowu takie komiczne, ale śmiałyśmy się wszystkie. Pod wieczór jednak dziewczęta zaczęły mdleć, najgorzej było z Bronką Zduńską. Wyglądała, jak by miała zamiar umrzeć.

Trzy razy dziennie w porze śniadania, obiadu i kolacji oddziałowa otwierała celę i pytała, czy przyjmiemy jedzenie. Przesta-

łyśmy już odpowiadać. Zamykając wieczorem celę, mruczała pod nosem: „Ależ tu trupem śmierdzi”.

Czwartego dnia przyszło kilku oddziałowych i zaczęły nas na siennikach wynosić do dyżurki. Nie miałyśmy sił stawiać oporu. W dyżurce czekał felczer, który każdej z nas pakował przez gardło do żołądka gumową rurkę i wlewał mleko. Oddziałowi trzymali nas podczas tej operacji za ręce i nogi. Potem każda z nas mówiła „protestuję!” i odnoszono ją z powrotem do celi.

Wreszcie piątego dnia przyszedł „Nurek” i obiecał uwzględnić część naszych żądań. Pod wieczór postanowiłyśmy przerwać głodówkę. Fotografii nam jednak nie zwrócili, powiedzieli, że możemy sobie wieszać na ścianie obrazki, ale nie politycznej treści. Durnie.

Dostałyśmy gryps z W.W, strasznie nas zrugali za tę głodówkę. Że jesteśmy niezdiscyplinowane i nieodpowiedzialne. Prawdę mówiąc, można było obejść się i bez głodówki, ale raz trzeba przecież wypróbować własną wytrzymałość. Poza tym „Nurek” oszukał nas — ani dłuższego spaceru, ani drugiej celi nie dał.

Co za straszny dzień. Dziś o świcie rozstrzelali Engla. Nawet nie wiedziałyśmy, że siedział tu, w jednym z nami więzieniu. Wyszłyśmy, jak co dzień, na spacer — patrzmy, przy bramie stoi zielona karetka, którą wozili się „niebezpiecznych” więźniów. Obeşzłyśmy podwórce w kółko i przy stajni zapytałyśmy więźnia-woźnicę, kogo przywieźli.

— Waszego towarzysza rozstrzelali. Zawieźli go karetką o piątej nad ranem. Ciało potem rzucili, o, na tę rolwagę, jeszcze krew widać.

Rzeczywiście, widać ciemną brunatną plamę, i to jest krew Engla, bohaterskiego zetemkowca... Nie możemy sobie darować, że poszedł na stracenie wśród zupełnej ciszy, żeśmy go nie pożegnały bojowym okrzykiem... Stałyśmy długo nad tą krwawą plamą na więziennym wozie i oddziałowy nie śmiał nam zwrócić uwagi, że nie wolno się zatrzymywać...

Jedno z największych urozmaiceń w więzieniu to własna rozprawa w sądzie. Bo to i spacer przez miasto, i spotkanie z towarzyszami, i emocja nie byle jaka. Dziewczęta przepowiadały nam, że ze względu na młody wiek obie z Cešką dostaniemy wyrok, który można „na kiblu odsiedzieć”. Miały rację. Ceška dostała dwa lata, a ja półtora, i w dodatku twierdzy. Towarzysze za to oberwali słono: Majewski sześć lat, Borczyk pięć, reszta po cztery i trzy lata. Najwięcej nas zirytowało, że mój obrońca Paschalski w swej patetycznej mowie nazwał Ceškę i mnie: „te smarkate”. Rozprawa trwała trzy dni, sala sądowa na Pańskiej była przepełniona. No a w przerwach gadałyśmy sobie z towarzyszami, było strasznie wesoło i przyjemnie. Dostałyśmy z Targowej kupę pozdrowień i gryps od Mru-gały. Szkoda, że to się już skończyło. A że perspektywa wolności już niedaleka — to całkiem przyjemnie. Rzeczywiście można „na kiblu wysiedzieć“...

Błąd majowy

Wczesnym rankiem obudził mnie telefon.

— Ty naturalnie śpisz sobie najspokojniej i o niczym nie wiesz. Nie słyszysz, że strzelają? Rewolucja! Nie wychodź nigdzie, zaraz przyjdę.

Byłam kompletnie zaspana i nie od razu uświadomiłam sobie, że te jednym tchem wykrzyczane do telefonu słowa Ceški nie są dalszym ciągiem moich marzeń sennych. Przypomniało mi się tylko, że to jedna stara kryminalistka w więzieniu na Milsza, ilekroć spotykała nas na korytarzu, pytała: „Pani polityczna, co tam piszą w gazetach, kiedy będzie rewolucja albo maniwest?”

Co się dziś znowu ubzdurało Cešce? Lubi wprowadzić urządzać kawały i nabijać porządnych ludzi w butelkę, ale żeby na skalę aż tak nieprawdopodobną... I co ma oznaczać ta zapowiedziana wizyta o niezwyklej porze? Przecież cały boży dzień Ceška jest zaharowana z trójką tych burżujskich bachorów. Nic nie rozumiem.

Ściągnęłam Ceškę do Warszawy wiosną 1926 roku. Po wyjściu na wolność nie było sensu dłużej sterczeć w Łodzi. Siostry po wyjściu Reni na wolność pojechały do Mekki.